

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego

w Krakowie, Plac Maryacki L. 9
róg Rynku głównego

poleca bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek
strojnych i angielskich, boa strusich i rękawiczek.

Sprzedaż materyałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

WIEDENSKI BANK ZWIĄZKOWY - FILIA W KRAKOWIE

Kapitał akcyjny 130 milionów koron.

Kraków. Rynek główny, Linia A-B 44.

Fundusze rezerwowe 39 milionów koron.

Przyjmuje wkładki w rachunku bieżącym i na książeczki wkładowe.

Podatek rentowy opłaca bank z własnych funduszy. Kupno i sprzedaż papierów wartościowych, walut i dewiz. Udziela pożyczek wekslowych i na zastaw papierów. Przyjmuje walory w przechowanie. Wypłaca kupony i wylosowane efekta. Przyjmuje wszelkie zlecenia giełdowe.

Specjalny Magazyn Nowości Konfekcyi dla Pań
firma **ADOLF CZOPP**, Lwów, Plac Kapitulny 3
naprzeciw kościoła Katedralnego

poleca na sezon jesienny i zimowy bogato usortowany zapas w nowościach:
Płaszcze teatralne, futrzane i prawdziwe krymskie, gotowe wierzchy do futer,
kostiumy angielskie, bluzki, halki i. t. p. Ceny wabiąco niskie.

Józef Bezdek tapicer i dekorator **Lwów, Pańska 15**
poleca się Szanownej P. T. Publiczności

MAURYCY LEBLANC.

WYDRAŻONA IGŁA.

Tajemnicze przygody Arseniusza Lupina.

10

(Ciąg dalszy).

— Owszem, surowo go za to ukarałem. Muszę jednak powiedzieć na jego usprawiedliwienie, że został zaskoczony niespodziewanem pańskim śledztwem. Gdyby pan nam zostawił jeszcze kilka godzin, uniknąłby pan tego nieprzebaczalnego zamachu...

— I bez wątpienia miałbym tę korzyść, iż uległbym losowi Ganimarda i Sherlocka Holmesa?

— Istotnie — odrzekł Lupin wesoło. A jaby nie doznał wyrzutów, jakie mi sprawiła pańska rana. Proszę mi wierzyć, że przeżyłem przez to straszne chwile i dzisiaj jeszcze pańska bladeść jest dla mnie zgryzotą. Pan nie ma do mnie żalu za to?

— Dowód zaufania — odparł Beautrelet — który mi pan dał, oddając się mi bez warunków — tak łatwo było mi przyprowadzić kilku przyjaciół Ganimarda — ten dowód zaufania łagodzi wszystko.

Czy mówił on seryo? Wyznam, że byłem zdumiony. Walka między tymi dwoma ludźmi zaczynała się w sposób, którego nie rozumiałem. Będąc obecnym przy pierwszym spotkaniu Lupina z Holmesem, w restauracji na dworcu Montparnasse, pamiętałem wyniosłą postawę obu przeciwników, scieranie się ich dumy pod uprzejmością słów i ruchów, wzajemne ich ciosy, jakie sobie zadawali, ich zarożumiałości. Tutaj nic podobnego. Lupin nie zmienił się, zachowując tę samą taktikę i podstępą uprzejmość. Lecz z jak dziwnym przeciwnikiem on się spotykał! I czy to był nawet przeciwnik? Nie był on nim ani z miny, ani z tonu. Zupełnie spokojny, spokojem naturalnym, który nie maskuje wewnętrznego niepokoju, grzeczny bardzo ale bez przesady, uśmiechnięty bez ironii, stanowił z Lupinem tak wielki kontrast, iż nawet Lupin wydawał się zmieszany. Wobec tego młodego chłopca o bladej, panińskiej cerze, o jasnych i niewinnych oczach, Lupin nie miał swej zwykłej pewności siebie. Kilka razy zauważyłem w nim pewne zakłopotanie. Wahał się, nie atakował otwarcie, tracił czas na wykrętne i słodkie zdania. Można by powiedzieć, że mu brakowało czegoś. Wyglądał, jakby czegoś szukał, czekał. Czego? Jakiej pomocy?

Znowu zadzwoniono. Pobiegnął szybko otworzyć drzwi.

Powrócił z listem.

— Panowie pozwolą? — zapytał.

Otworzył list. Była w nim depesza. Przeczytał ją.

Nastąpiła w nim nagle zmiana. Twarz jego rozjaśniła się, wyprostował się, żyły na czole nabrzmiwały.

Odnalazłem w nim znowu atletę, zwycięscę pewnego siebie, pana wypadków i ludzi.

Rozłożył depeszę na stole i uderzając w nią kulakiem, zawołał:

— Teraz, panie Beautrelet, na nas kolej.

Beautrelet zrobił minę słuchającego i Lupin zaczął miarowym głosem, lecz ostrym i stanowczym:

— Zrzucmy maski i fałsz hipokrytów. Jesteśmy wrogami, znającymi się wzajemnie. Jako wrogowie działamy przeciw sobie i jako też wrogowie, winimy traktować ze sobą.

— Traktować? — rzekł Beautrelet zdziwiony.

— Tak, traktować. Nie rzekłem tego słowa bez namysłu i powtarzam je bez względu na to, co ono mnie kosztuje, a kosztuje wiele. Po raz pierwszy używam go względem przeciwnika, powiedzieć jednak zaraz muszę, że i po raz ostatni. Niech pan korzysta z tego. Nie wyjdę stąd bez obietnicy pańskiej. W przeciwnym razie nastąpi między nami wojna.

Beautrelet wydawał się co raz bardziej zdziwionym. Rzekł grzecznie:

— Nie spodziewałem się tego... w tak dziwny sposób pan do mnie mówi! Jest to wręcz odmienne od tego, co myślałem o panu! Tak, wyobrażałem sobie pana zupełnie innym... Po co ten gniew? po co groźby? Czyż jesteśmy wrogami dlatego, że wypadki postawiły nas naprzeciw siebie? Wrogami... po co?

Lupin zamieszał się na chwilę, lecz krzyknął zaraz, pochylając się nad młodym uczniem:

— Posłuchaj, mój mały, tu nie chodzi o wybór wyrażenia. Chodzi o fakt, fakt pewny, nie podlegający dyskusji. Od dziesięciu lat nie trafilem na przeciwnika tej siły, co pan. Z Ganimardem, z Sherlockiem Holmesem bawiłem się jak z dziećmi. Wobec pana muszę się bronić, a powiem nawet, cofać. Tak, w chwili obecnej wiemy obaj doskonale, że muszę uważać się za zwyciężonego. Izidor Beautrelet pokonał Arseniusza Lupina. Plany moje są zburzone. Co chciałem zachować w cieniu, pan wy dobył na światło. Pan mi przeszkadza, pan mi zagraża drogę. Mam już tego dosyć... Bredoux mówił już to panu, lecz bez skutku. Teraz ja to panu powtarzam, pragnąc, byś pan zwrócił na to uwagę. Mam już tego dosyć.

Beautrelet potrząsnął głową.

— Lecz czegoż wreszcie pan chce ode mnie?

— Spokoju! każdy u siebie w swoim zakresie.

— To znaczy, że pan w spokoju będzie włamywał się, a ja mam w spokoju wrócić do nauki.

— Do nauki... do czego pan chce... to mnie nie obchodzi... Lecz pan mnie zostawi w spokoju... ja chcę tego.

— W czymże ja mogę naruszyć go teraz?

Lupin schwycił go silnie za rękę.

— Pan wie dobrze! niech pan nie udaje. Jest pan w posiadaniu sekretu, do którego ja przywiązuję jak największą wagę. Sekret pan może odgadnąć, lecz nie może go pan rozgłosić.

— Czy jest pan pewny, że ja go znam?

— Pan go zna, jestem tego pewny; dzień po dniu, godzinę po godzinie śledziłem kierunek pańskich myśli i postęp pańskiego śledztwa. W chwili gdy Bredoux pana zranił, miał pan wszystko wyjawic. Przez przywiązanie do swego ojca wstrzymał pan opublikowanie swych odkryć. Na dzisiaj są one obiecane temu oto dziennikowi. Artykuł jest gotowy. Za godzinę będzie złożony. Jutro ukaże się.

— Tak jest.

Lupin podniósł się i jakby przecinając ręką powietrze przed Izidorem, zawołał:

— Nie ukaże się.

— Ukaże się — odparł Beautrelet i podniósł się nagle.

Wreszcie ci dwaj ludzie stanęli przeciw sobie. Miałem wrażenie starcia jak gdyby schwycili się w pół. Niespodziana energia zamalowała się w oczach Beautreleta, budząc w nim nowe uczucia, odwagę, miłość własną, chęć walki i zuchwałość. W Lupinie spostrzegłem błysk radości, że wreszcie szpada jego spotka się z nienawidzonym przeciwnikiem.

— Artykuł już dany?

— Jeszcze nie!

— Ma go pan tutaj... przy sobie?

— Nie takim głupi! Jużbym go nie miał.

— A więc?

— Ma go zapieczętowany jeden z redaktorów. Jeżeli o dwunastej nie będę w redakcji, każe go składać.

— Ach! łajdak — szepnął Lupin — wszystko przewidział.

Gniew jego wzrastał, stawał się strasznym.

Beautrelet śmiał się drwiąco, jakby pijany swym zwycięstwem.

— Milcz ty bębnie — krzyknął Lupin — nie wiesz, kto ja jestem? i gdybym chciał... słowo daję, on odważy się śmiać się!

Zaległo zupełnie milczenie. Potem Lupin zbliżył się i ostrym głosem z oczami, utkwionymi w Beautreleta, rzekł:

— Pójdiesz zaraz do *Wielkiego Dziennika*.

— Nie!

— Powiesz swój artykuł.

— Nie!

— Zobaczysz się z głównym redaktorem.

— Nie!

— Cofniesz mu, żeś się omylił.

— Nie!

— I napiszesz inny artykuł, w którym ogólnikowo przedstawiś wypadki w Ambrumesy.

— Nie!

Lupin schwycił leżącą na mojem biurku linję żelazną i bez wysiłku złamał ją. Twarz jego była trupio blada. Wytarł krople potu, spływające mu z czoła. Nigdy jeszcze nie napotkał oporu, a teraz upór dziecka o szaleństwo przyprowadza go. Oparł obie swe ręce o ramiona Beautreleta i rzekł dobitnie sylabę po sylabie:

— Uczynisz to wszystko, powiesz, że ostatnie